Nr. 23 We Lwowie dnia 7. czerwca 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Nieznany wiersz St. Jachowicza.

Z powodu tak ochotnie we wszystkich dzielnicach kraju święconej uroczystości setnej rocznicy urodzin St. Jachowicza, nieobojętnem będzie przytoczyć nieznany wiersz największego przyjaciela dzieci, poświęcony Wincentemu Polowi. Stosunek obu poetów zostawił niezatarte ślady w naszej literaturze.

We wspaniałym rytmie (umieszczonym w dziełach W. Pola wyd. lwow. 1877. t. IV.) przypominał autor »Mohorta« Jachowiczowi dzieje narodu, który niegdyś niósł światło wiary i swobody w dzikie kraje, a teraz jak pelikan karmi rozkrwawioną piersią własne dzieci...

Kiedy w r. 1857 wielbiciele cichych cnót Jachowicza uwili mu »Wieniec« literacki w 61. rocznicę jego urodzin, wówczas W. Pol składając hołd zasługom ukochanego opiekuna maluczkich, dorzucił nowy listek do »Wieńca« jego sławy. Oddając w wierszu p. n »Słowo« cześć lutni Jachowicza z »bożego krzewu«, na której »anioły-stróże grają« podniósł wysoko, aż na szczyty Tatr »śpiewaka dobrego posiewu«, który kwieciem obsypał ciernisty manowiec i »wielkim Zbawiciela wzorem« garnął do siebie dziatwę. Nauka jego podobna do deszczu majowego, do oddechu bożej rosy, a pieśni jego krążą dokoła nas jak rój gołębi i dźwięczą jak dzwonek wiejskiego kościołka.

W odpowiedzi na ten hołd wieszcza, który w swej dumnej wielkości nie rad był dzielić się sławą, napisał St. Jachowicz następujący prześliczny wiersz w albumie W. Pola:

Cześć Tobie Bracie! piewco z pod Wawelu!
Którym się szczyci dzisiaj nasze plemię;
Żeś uczcił męża w dziatek przyjacielu
I przesłał »słowo« na rodzinną ziemię!

Boć ta kraina — Twoją wspólną matką,
Jej piękne niwy — Twojemi niwami,
Jej każda strzecha — Twą rodzinną chatką:
Stąd pieśni Twoje naszemi pieśniami!

Czy błąkasz myślą wśród cichego sioła,
Czyli tam sięgniesz, gdzieś na kraniec szlaku,
Ażeby z grobu przywołać do koła
Ducha rycerza pancernego znaku,

Zawsześ radośnie witany w drużynie,
Jak piewca, Bożym palcem namaszczony:
Bo każde słowo, co z Twej piersi płynie,
I w naszej piersi rzewne budzi tony!

Boć jeśli śpiewać, a sercem ochoty —
To już dla takiej i w takiej ojczyźnie,
Gdzie po kądzieli najwznioślejsze cnoty,
A zaś po mieczu miecz wzięto w spuściźnie!

Tam ci pomnika nie wystawią z głazu,
Który żelazna dłoń czasu pokruszy,
Ale ci za to wszyscy wzniosą zrazu
Pomnik z serc własnych i z łez własnej duszy:

Tam Ci otworzy wrota każda chata!
Jak krzyż wyciągną do Ciebie ramiona!
I tak uścisną, jak własnego brata!
I tak przytulą, jak dziecię do łona!

Więc, jeśli żyć nam — to w takiej krainie,
Jeżeli marzyć — to w ojczystym gaju, —
Gonić za szczęściem — to w własnej rodzinie,
A gdy się kochać — to w swym własnym kraju!

Boć ponad uścisk najmilszej nam dłoni,
Nad pocałunek na ustach aniołów,
Czy w chwilach szczęścia, czy w nieszczęścia toni —
Milszy jest uścisk ojcowskich popiołów!

Ty to pojąłeś, piewco dobrej woli:
I miasto jakiejś lutni cyprysowej —
Tyś ją wystrugał z Powiśla topoli,
Z wierzby płaczącej i rdzeni dębowej!

I odtąd, skoro uderzysz w jej struny,
By jak skowronek brzmieć pieśnią w niebiosy,
Albo z grobowców odsłaniasz całuny,
Albo opiewasz wspólne nasze losy.

Jak oracz w polu ostrzem swojej sochy
Potrąca kości w odwiecznej mogile —
Tak Ty swą pieśnią poruszasz te prochy,
Które ginęły w zapomnienia pyle!

Więc Cześć Ci, Bracie! Piewco pod z Wawelu!
Którym się szczyci dzisiaj nasze plemię:
Żeś uczcił męża w dziatek przyjacielu
I przesłał »słowo« na rodzinną ziemię.

Wiersz ten, który mieści się we wspaniałym albumie autora »Pieśni o ziemi naszej«, będącym własnością, Dr. Wincentego Pola zaszczytnie znanego syna poety, ogłaszamy tu po raz pierwszy drukiem.

Dr. H. Biegeleisen.

BOBAK!

(Z cyklu poezji prozą: „Łzy i uśmiechy).

(Dokończenie).

Ale nie dosyć na tem; przedzierzgnął się znów w inną postać.

Gdy piosenki moje dostały piórek i zaczęły latać po świecie, straszyli mnie ci i tamci: - Daj sobie spokój, mała, siedź grzecznie w domu, rób swoje, zobaczysz, wielki Bobak cię zje! A on surowy, ostry, ma pazury nieubłagane; nie takie głowy jak twoją, makówką, pełną haszyszowych złudzeń, zmiażdżył; nie takie rumaki, jak twój pegazik, odprzągł od świetnego rydwanu sławy! On bystry, rączy; na stałym lądzie pozytywnej prawdy cię dogoni, na fali swych metodycznych wniosków dogna, szerokim swym, przestrzeniowym oddechem niejednego prześcignął i zatrzymał w nieprawidłowym, ikarowym locie. Jak motyla na szpilkę cię weźmie, otrzęśnie tęczowe pyłki, i gąsienicą wyjdziesz z jego krytycznej ręki! Tak, tak, siedź cicho!

— Ależ ja nie mam ochoty cicho siedzieć! każdemu wolno śpiewać, jak umie i jak — chce! każdemu ptakowi, świerszczowi nawet, a mnie-by nie? Cóż to znowu takiego! Nawet tamtemu, potężnemu Bobakowi nie dam sobie skrzydeł odciąć, nie dam nawet odmuchnąć z mojej własnej tęczy; komu raz skrzydła wyrosły, temu ich nikt nie odejmie, i nikt mnie na gąsienicę nie przerobi... Pełzać nie będę! bujać, latać, szybować, unosić się, rozskrzydlać się będę.. bo już inaczej — nie mogę!

— Co ty pleciesz! — mówiono mi z salonową troskliwością: fe! to nawet nieładnie dla panienki wiersze pisać! to brzydko dla młodej osoby, dobrze urodzonej, coś tam drukować.. to nawet.. wierz nam... znającym świat... nawet nieprzyzwoicie!

— Oj! Bobaczki! — wybuchnęłam śmiechem serdecznym, przeciągłym — nie boję się was, nie, ani waszej parafjańskiej ostróżności! Wolę tamtego, wielkiego, mądrego pogromcę, który mnie zje odrazu, niż wasze ucieranie, jak w żarnach, wszystkich dusz na jednostajną, płową, jałową, dystyngowaną plewę towarzyską! Ba! zapewne, żem dobrze urodzona, *Deo gratiae* panujący nad sobą, dziedziczną żołnierską wolą, silny, płomienny duch! Udałam się Panu Bogu i przyrodzie, niema co mówić; jako nieodrodne boskie stworzenie będę spełniać ludzkie obowiązki, z nieśmiertelności rodem — przebędę odważnie ziemskie kroki człowieka i tam, na progach niebios, kiedyś, — zmęczona walką i cierpieniem, zapukam do rodzinnych wrót: to ja... swój... Bądźcie więc o mnie spokojni, wytrawni światowcy.. natura dała mi czujne oczy ku widzeniu, gdzie mam iść, subtelny słuch ku słyszeniu, kędy dla mnie trawa rośnie z perlistą rosą natchnienia... ja wolę iść do tego smoka, którym mnie straszycie. I poszłam do niego. Wiedziałam, że jest z tych, nielicznych, uczciwie mądrych, a poprostu szlachetną mówiących prawdę, więc nawet choć z trwogą, to przecie z ufnością kładłam przed nim sporą plikę moich pierwszych szpargałów. Nie umiał ten człowiek ani blagować, ani pozować, więc też niechętnie wziął do rąk papiery, przerzucał szybko, wprawnem okiem sądził, krzywił się, mruczał, zatrzymał tu i tam, i z niekłamaną złością rzucił wzdłuż pracowni, ku płonącemu kominkowi, plon, który przed nim złożyłam, a uczynił to tak zręcznie, że niektóre białe listki wpadły wprost w ogień, inne rozsypały się dokoła...

— Oh! Bobaku! — westchnęłam w duszy, ale mnie pocieszało kilka arkusików, które mu w ręku zostały; więc, trochę markotna, ale spokojna, pozbierałam rozrzucone papiery, które ognia nie doleciały, i sama rzuciłam je płomieniom na pożarcie. Tego się widać nie spodziewał i rozbrojony poważną prostotą, wręczył mi owe uratowane ćwiartki z tym bezwzględnym jednak dodatkiem:

— Daj mi teraz święty spokój, nie przeszkadzaj... mam ważniejszych od ciebie na głowie... odrabiaj swoje, jeśli się czujesz na siłach, codzień, powoli... może to się zda kiedyś — na co.... dobrego ..

— Dowidzenia! — zawołałam radośnie, bo mnie nie zjadł ze szczętem, zostawił parę piórek w skrzydłach, zostawił mi odrobinę nadziei, z której podrosnąć miała moja praca, tak jak gospodyni zostawia grudkę zacieru na przyszły chleb. Wzięłam się do roboty, minęły lata, parę

książeczek poleciało w świat, nie wiedziałam czy je zauważył, pogrążony w olbrzymiej swej pracy, dopytywać nie śmiałam, wystarczało mi poczucie — że mam dość siły, aby czynić swoje. Ale za to, znalazły się wkrótce małe Bobaczki, i zaczęły podgryzać korzonki moich piosnek, obskubywać uczuć kwiaty gorące, dmuchać na myśli dumne połyski i przedrzeźniać kłamliwie śmiałą, słoneczną prostotę. Patrzyłam na to ze zgryzotą i pytałam: za co? dlaczego tak mi czynią? dlaczego? Wkońcu, dotknięta głęboko, chciałam się już — bronić, ale to tak trudno, tak boleśnie, dochodzić do tej ostateczności chwytania za oręż przeciw ludziom, których się z młodzieńczą, fanatyczną zrazu miłością, wszystkich — tylko — kocha! Ach, ten miecz z pochwy wzburzonego serca, krwawo się wyjmuje, choć przychodzi czas, że czystej, a pewnej siebie prawicy trudno wytrzymać bez jego — błysku przynajmniej, nim jej nie zmuszą — na cios. Patrzyłam więc i czekałam. Aż naraz, bobaczki przysiadły, ucichły, umilkły... szukałam dokoła przyczyny, i ujrzałam wreszcie patrzącego na nich z góry tamtego, wielkiego smoka, patrzącego tak ostro, przenikliwie a surowo, że się ruszyć nie śmieli. Chciałam poskoczyć, aby mu dziękować, ale się wstrzymałam.. alboż on mnie bronił? on bronił — prawdy! Zostawiłam go więc z jego prawą zasługą, którą spełniał jako powinność. Jak to dobrze, myślałam, jak to dobrze, że — ten Bobak jest na świecie, pracuje tam kędyś — bez wytchnienia; patrzy, słucha, bada, sonduje, sądzi; z przeszłości dobywa przyczyny, w przyszłości wykuwa i oświetla nową drogę, jak górnik w mroku kopalni; w teraźniejszości rozróżnia i kojarzy dawne rzeczy z nowemi, a gdy na drobnostce, byle typowej, badawczą położy dłoń, umie ją podnieść do ważności objawu współczesnego życia. O! jaki ty potrzebny jesteś, ty, nieubłagany Bobaku prawdy!

A potem, idąc dalej w życie, zaczęłam coraz częściej spotykać różne straszydła, które już nie pojedyńczo, lecz gromadnie przecinały drogę dojrzałych lat... Był to piękny, migotliwy, czarowny, a zdradny Bobak — złudzenia... szydził, wyprowadziwszy mnie w pole, z mojej hardej ufności we własne siły, z wiary w ludzi, z najprawdopodobniejszych zamiarów, i zostawił duszę moją odartą z marzeń, na krzykliwym targu walki o byt, o kroplę wody niezmąconej, o chwilę wytchnienia.. Wtedy zamieniał się w hydrę ciężkiej pracy, wśród obojętnych ludzi, którym nie przyszło do głowy zapytać mnie — czy jesteś zmęczona?... lecz dziwili się, że człowiek, to jak maszyna, potrzebuje też czasem naprawki jakiej, potrzebuje też czasem kilku kropel oliwy kojącej na wyschnięte w ruchu kółka, aby módz obracać się dalej..

A potem... rzucił się na moje serce, ludzkie, gorące, niecierpliwe i gwałtowne niekiedy i gryzł je, jako straszliwy Bobak — sumienia; z małych rzeczy czynił niesłychanie wielkie, z powszednich win — śmiertelne; i na odwrót zaślepiał wewnętrzny wzrok, mgłą zasuwając błędy niebezpieczne, odwracając uwagę na mniej ważne; tak tumanił, kręcił, trwożył, usypiał, mylił jasny wewnętrzny promień, że w końcu z bólem mi przychodziło nastawiać go znów prawidłowo na bieguny złego i dobrego... A gdy dusza zmęczona walką swego żywiołu wytchnąć pragnęła swobodnie, on przedzierzgał się — w zmorę oburzenia na ludzi, na brudy tego świata; w wstręt do

---

9)

Dr. FAUST.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

Dziecko przyszło na świat w złych warunkach... Chowała je troskliwie, ale nie mogła zapobiedz chorobie. Zamało zarabiała, żeby leczyć dziewczynkę tak, jakby należało... Leczyła, ale o tyle tylko, o ile mogła... Teraz może już za późno... Lekarze radzą zostawić czasowi, a ona widzi, że z dzieckiem jest coraz gorzej...

Pod koniec mówiła już prawie szeptem; przymknęła oczy: dwie łzy spłynęły po policzkach.

Kiedy doktór zaczął badać dziewczynę, wstała z krzesła, z zapartym w piersiach oddechem słuchała, wpatrzona w doktora, to w córkę. Parę razy chciała przemówić, poruszyła wargami, wstrzymała się jednak, policzki pałały, jak ogniem.

Dziewczyna była lunatyczką, wpadała w odrętwienie, miewała szalone bóle głowy i spazmy. Z paczki recept, którą matka złożyła na biurku, doktór przekonał się, że wszelkie możliwe środki były już wyczerpane.

— Pan ją wyleczy? — szepnęła matka.

Czekając odpowiedzi, wpatrzyła się w niego tak rozpaczliwie błagalnym wzrokiem, że doktór odwrócił głowę i spojrzał machinalnie na zegarek.

— Spróbuję — odrzekł.

Był trochę wzruszony, nie miał odwagi wyznać, że i on, tak jak jego poprzednicy, prawie nic, albo bardzo niejasno rozumie stan zdrowia dziewczęcia.

Kazał chorej przyjść jutro, tymczasem zaś bardzo stanowczo, z naciskiem upewniał, że będzie zdrowa, że tej nocy zaśnie spokojnie; patrzał jej w oczy przenikliwie.

Dziewczynka zarumieniła się, jak jutrzenka. Śliczna blondynka, z popielatemi warkoczami, wyglądała jak księżniczka w zgrabnej flanelowej sukience w kratkę białą z czarnem, wypieszczona, wychuchana, apatyczna i urocza zarazem.

Matka stała przy drzwiach, wyczekując może słowa nadziei.

— Pan ją wyleczy... — powtórzyła błagalnie.

nikczemnych, podziemnych robót, któremi widziałam jak krety zuchwałe podminowywały sprawy społeczne, najczystsze idee i najniewinniejsze jednostki; w mściwy gniew, w nienawiść wyniosłą do tych wszystkich ohydnych mataczy, łotrów, komedjantów podstępnych, chcących życie, pracę, cnotę, honor, siłę lub bierność bliźniego, obrócić na swój porządny benefis, i w kupie nagromadzonych w nędznem wspólnictwie śmieci, zagrzebać czerepy własnego upadku, skorupy straconego wstydu, próchno swego zepsucia...

A dalej... mściwe wstręty moje odpoczywały w szczerozłotych, kryształowych, choć ciężkich cierpieniach nad mogilnym jękiem osierociałej, bezdzietnej w przejściowych epokach ojczyzny, czekającej aż podrosną miłujące po synowsku dzieci, aż opamiętają się zbytnicy, aż obudzą się śpiochy, zerwą się leniwce, zgodzą się krzykacze, zmądrzeją gminy, zuczciwieją władze, wypogodzi oblicze chłop, i słońce błogosławić będzie pracy pulsującej w silnym organizmie od góry do dołu, od dołu ku górze.. Ach.. jak to daleko... a może to tylko znów Bobak złudzenia? nie! tu i tam, w pracowniach, w szkolnych klasach, na rolach, w warsztatach, ruszali się nieodrodni potomkowie tej ziemi, rozkwitali powoli na przyszły dla niej plon... Więc uśmiechać się zaczęłam i cieszyć, aliści przyszedł inny pogromca uśmiechów, abym przypadkiem nie odwykła od łez... Blady był tym razem, milczący, jak grób, nic do mnie nie mówił innego, jeno te dwa słowa: niema! które wypłaszały z duszy mojej wesele, pociechę, nadzieje drogie i słodkie.

— Nie ma!... mówił, gdybym go pytała o ukochanych moich, tych, tamtych... tylu! I myślą szukałam ich w przeszłości, widziałam jak dziś.. tamten, piękny, rycerski, żołnierz nieustraszony, śmiały myśliciel, z duszą jak stal, sercem jak wosk... gdzie on? — nie ma!... A tamci, młodzi, w kwiecie wieku, w koronie czarnych i złotych włosów nad czołem... gdzie oni? — gdzie głowy ich, opadłe jak kwiaty przedwcześnie?... — Nie ma!.. A ty, ukochany, wypieszczony, tulony, lękliwie strzeżony, najmłodszy kwiatku na rodzinnej gałęzi... jakiż to wicher śmiał cię zdmuchnąć? jakiż to szron nieubłagany śmiał walczyć z miłośnem, twórczem, słonecznem tchnieniem matki?.. gdzie ty, maleńki?

Widmo żałoby nic nie rzekło szanując świeży, niezabliźniony, rozraniony jeszcze ból... Ach.. nie ostatni!... Gdzie jesteś, ty... z kłosa najsłodszych nadziei wykruszone ziarno szczęścia? gdzie jesteś iskro, wykołysana w kolebce najprostszych, a zarazem najdumniejszych marzeń?... gdzie jesteś pyłku, krążący w mgławicy najgłębszych pragnień moich, pyłku z którego miał mi nowy stworzyć się świat? gdzie jesteś grudko polskiej gliny, na której Bóg miał położyć swój wyręczny palec i rzec ci słowo swoje — żyj! gdzie jesteś? gdzie? — Nie ma... nie ma... rzekło widmo, ruszając ramionami nad niepoprawną bezkarnością moich pragnień i zasuwać się zaczęło w mrok...

— Stój! krzyknęłam — zabierz mnie z sobą! ciężko mi żyć bez tego, co jest mojem życiem! weź mnie... zmęczona jestem...

— Potem... trochę później...

— Potem? po czem? jakież jeszcze strachy, mary, widma, przedrzeźniacze, pogromcy, potęgi, — trwożyć, doświadczać, gnębić mnie przyjdą! Później... a tak! ja wiedziałam jeszcze od piastunki, że mnie zjadać będziesz — powoli...

Doktór raz jeszcze powtórzył, żeby przyszła jutro.

Wyszły. Przeprowadził je wzrokiem; widział, jak drzwi zamknęły za sobą i przez chwilę widział pustkę w gabinecie, oświetlonym lampą, wiszącą z sufitu i dwiema świecami na biurku.

Spojrzał na drzwi, a przed nim znowu stała kobieta w czarnym, aksamitnym kaftanie z czarną koronką na włosach. Patrzała na niego wyrazistemi oczami, wargi drgały, głowę zlekka do drzwi przysłoniła.

Wstał, podniósł głowę, mrugnął kilkakrotnie oczami. Kobieta znikła, pozostało jednak wrażenie niezwykłego spotkania: gwałtowne uczucie w naturze wysoce nerwowej mogło wytworzyć jakąś siłę, która teraz wciąż mu tę nieszczęśliwą przypominać będzie. Twarz, oczy, głos pozostaną na długo w pamięci.

Tego wieczoru chorych nie przyjmował.

Ochłonął z wrażenia, wypoczął, a gdy mógł już myśleć porządnie, zasiadł ze Strusiem do partji szachów.

Struś uśmiechał się złośliwie; wiedział już, że szachy potrzebne były doktorowi do uporządkowania chaotycznych myśli.

Wnioskując zaś z wyjątkowo natężonej uwagi tego wieczoru, doszedł do przekonania, że musiało zajść coś niezwykłego w krainie chorobliwej fantasmagorji.

— Hm, może djabła zobaczył? — mruknął, gdy doktór wbrew zwyczajowi zaatakował jego królowę.

Przez kilka dni przyglądał mu się uważnie i czegoś wyczekiwał.

Doktór zmienił się, jakgdyby naraz przeszłość smutna znikła z pamięci, a on sam odmłodniał i zamierzał żyć zupełnie inaczej, niż dotąd.

Taki miał wesoły uśmiech, takie przebłyski zachwytu w szarych oczach, że Struś przestał z nim rozmawiać; po dawniejszemu nie chciał, a na nową nutę trafić odrazu nie mógł — czekał, aż to się wyklaruje, albo przeminie.

Doktór wracał do domu coraz wcześniej, spieszył przez ogród pogwizdując, a zaledwie wszedł do przedpokoju, pytał o Strusia, latał po pokoju z rękami w kieszeniach; mówił o kilku rzeczach naraz, przerywał rozmowę, patrzał mu

po trochu... nieubłagany Bobaku! Ie przyjdziesz... wiem o tem... stawisz się na czas, tylko poczekasz chwilę jeszcze, aż ciężar doświadczeń przepisanej miary swej dojdzie, aż słońce się zciemni i gwiazdy mi zbrzydną, aż ten proch mój ziemski nie będzie miał sił do utrzymania w sobie tylu cierpień ducha... Przyjdziesz... ale ja się wtedy niczego już lękać nie będę... a tembardziej — ciebie... któremu na drugie imię — spokój.. Dowidzenia, więc tobie... Bobaku śmierci... Dowidzenia!

Szczęsna.

Antonio Fogazzaro.

(Dokończenie.)

Ten sam ton marzycielski przebija się także w jego powieściach z których pierwsza, »Malombra«, pojawiła się w kilka lat po wydaniu owego tomiku utworów lirycznych. Tutaj już spotykamy się z działaniem świata nadprzyrodzonego, świata duchów — i to w ten sposób, że pojęcia spirytualne przekształcają się w spirytystyczne. Żyjąca pod okiem wuja, starego dziwaka, w jednej z will nad jeziorem lugańskiem, młoda markiza Malombra jest istotą z tamtego świata — jest rewenantką, odżyciem swej dawno zmarłej prababki, która w tragiczny skończyła sposób. Dusza jej otoczona jest tajemniczemi głosami, płynącemi z sfer zagrobowych; umiał jednakże poeta ominąć tutaj szkopuł pewnej trywjalności, wynikającej z zbyt realnego pojmowania świata duchów. Owe głosy zagrobowe przedstawia on w ten sposób, że czytelnik nie jest pewien, czy to objaw rzeczywisty, czy też halucynacja duszy schorzałej.

Jeżeli »Malombra« przyniosła Fogazzaremu sławę spirytysty, to utwierdziła ją nowela, ogłoszona nieco później, a traktująca o miłości poety, Ermesa Torranzy, do mężatki, która dla niego zerwała węzły obowiązku, wiążące ją z zaślubionym jej człowiekiem. I tutaj świat nadzmysłowy wkracza w stosunki realne, ale i tutaj pozostawia nas autor, mimo wszystko, w niepewności, czy owo działanie sfer nadziemskich w postaci głosu nieboszczyka jest prawdą, czy też wypływem podrażnionej wyobraźni.

Kochanka zeszłego ze świata poety siedzi pewnego wieczora, naznaczonego jej w ostatnim liście, który przed śmiercią napisał jej Ermes Torranza, przy fortepianie i, wpół we śnie, pół na jawie czekając na znak, obiecany przez zmarłego, gra ostatnią przez Torranzę napisaną dla niej piosenkę. Wtem słyszy za sobą ciche kroki, z bijącem sercem odwraca się i spostrzega — męża, który, również na rozkaz zmarłego, zjawia się w jej pokoju, ażeby znią się pogodzić. »Możnaby — mówi jeden z niemieckich wielbicieli Fogazzara, Oskar Bulle, którego obszerniejsza praca sprawozdawcza posłużyła za podstawę niniejszego artykuliku — »możnaby te naturalne, niemal trywjalne rozwiązanie potężnego napięcia, w jakiem nowela ta umiała nas utrzymać aż do tej chwili, uważać za pełną humoru satyrę na spirytyzm, gdyby nie zagrobowy głos, który swe zadowolenie z tego pojednania objawia za po-

---

w twarz uśmiechnięty, roztargniony, spoglądał na zegarek, niecierpliwił się, ale tą niecierpliwością zakochanego, który w oczekiwaniu znajduje przyjemność.

Chorych nie przyjmował wcale, a na złośliwe uwagi Strusia o znikomości cudownego hypnotyzmu, kiwał głową potwierdzająco. Stracił chęć do rozmowy, do sporów, zamknął się sam w sobie. jakby się rozpłynął w jakiejś błogiej wewnętrznej kontemplacji.

Całemi godzinami przesiadywał w gabinecie z chorą dzieweczką, a przez ten czas matka siedziała przy drzwiach w przedpokoju; nieruchoma, z rękami splecionemi na kolanach, z szeroko otwartemi oczami, łowiła uchem każdy szmer za drzwiami, a twarz wychudzona, zczerniała, wyrażała naprzemian rozpacz i nadzieję.

Znużona nieruchomem nasłuchiwaniem, oglądała ostrożnie paltocik dzieweczki, który trzymała na kolanach, niebieską włóczkową chusteczkę i rękawiczki; ale nie przestawała słuchać ani na chwilę — zdawało jej się, że przez zamknięte drzwi słyszy równy oddech... szept cichy, czasem jakby jęk stłumiony. Zrywała się z krzesła, spoglądała przerażonym wzrokiem po pustym przedpokoju...

Lokaj drzemał na krześle pod lustrem; duży żółty pies stał przy drzwiach i patrzył na nią zielonemi, błyszczącemi oczami.

Jego też do gabinetu nie wpuszczali.

Stłumiony jęk powtarzał się kilkakrotnie...

Kobieta paltocik, chusteczkę i rękawiczki na krześle złożyła; sama stała przytulona do drzwi...

Pies oczu z niej nie spuszczał, od czasu do czasu pokazywał zęby, gotów rzucić się na nią, gdyby rękę do klamki podniosła...

Dziewczynka wychodziła z gabinetu coraz słabsza; uśmiechała się do matki, jak przez sen, przechylając ociężałą główkę z ramienia na ramię; oczy zgasły, poruszała się, patrzyła jak lunatyczka...

(C. d n.

Ostoja.

mocą cichego dźwięku, wydobywającego się naraz z fortepjanu«.

Ten świat nadzmysłowy odgrywa rolę decydującą i w romansie »Tajemnica poety« (Il misterio del poeta), choć tutaj spirytyzm przeobraża się w spirytualizm, przybierający kształty wiary w pewien rodzaj predestynacji, naznaczonej jednostce ludzkiej jeszcze zanim się ucieleśni, od początku wszechbytowania. Romans opowiada o nieszczęśliwej miłości poety, który, zanim poznał swą kochankę, słyszał we śnie na kilka lat przedtem dwukrotnie jej głos i z chwilą, gdy go z nią zetknęła rzeczywistość, uwierzył, że ta, a nie inna kobieta była mu od wieków przeznaczoną jako uzupełnienie jego duszy. Śród tragicznych kolizji dąży też do tego, aby się z nią połączyć na zawsze, co też uskutecznia, choć nie danem mu jest używanie pełni tego szczęścia, gdyż ukochana przezeń istota umiera w sam dzień ślubu. Z gorżkim tym losem jedna atoli poetę »wiara w nieuniknioną wszechmoc, ogarniającej całego człowieka, przez tajemne potęgi niejako narzuconej mu namiętności«.

Zupełne zwycięstwo spirytualistycznego pojmowania bytu nad spirytystycznem oznaczają u Fogazzara dwie ostatnie większych rozmiarów powieści, wspomniany już na początku »Daniel Cortis« i »Stary światek«. I w »Danielu Cortis« zajmuje się on miłością nieprawą, miłością do mężatki, a więc wykraczającą przeciw obowiązkom rodzinnym. Nie sławi on jednak teorji, że miłość nie zna żadnych praw, żadnych pęt, lecz owszem uzmysławia ascetyczną niemal zasadę, opartą na wierze w przyrodzoną szlachetność człowieka, a wypowiedzianą w jednym z jego odczytów: »Jeżeli miłość sprzeciwia się ustrojowi rodzinnemu, to nie pozostaje nic innego, jak tylko poświęcenie samej siebie tj. wyrzeczenie się, a z tem wyrzeczeniem, wynikającem z poświęcenia, wyniesienie się ponad sprawy doczesne, nadzieja wieczności«. Ostatnie słowa trącą nieco katechizmem, pomimo to jednak w przeprowadzeniu tej tezy w powieści nie wpadł Fogazzaro w abstrakcje religijne — przeciwnie bohater jego, Daniel Cortis, przemógłszy w sobie namiętność, szuka ukojenia w pracy dla dobra uciemiężonej, cierpiącej ojczyzny.

Ostatnia powieść rozgrywa się w czasie, kiedy we Włoszech rozbudził się duch bohaterski, dążący do zrzucenia sromotnego jarzma wrogów, a miejscem akcji jest znowu urocza dolina »Valsolda« nad tyle razy opieśnianem jeziorem lugańskiem. Czas ten (r. 1851—1859) przypada na młodość Fogazzara; niewątpliwie też w głównej postaci »Starego Światka«, w arystokratycznego pochodzenia Franc'u Maironim spotykamy dużo rysów, skopjowanych z duchowej fizjonomji samego autora. Franco Moironi to marzycielski idealista, dla którego samo uczucie jest czynem, poeta i muzyk niemałego talentu, który jednak wskutek braku sprężystości i natężenia w pracy nigdy nie przekroczył granic dyletantyzmu. Sam pozbawiony majątku, posiada bogatą babkę, zapaloną zwolenniczkę rządów austrjackich, względem wnuka wrogie żywiącą uczucia z tej zwłaszcza przyczyny, że Franco, odrzucając korzystny ożenek z młodą »damą z towarzystwa«, zawiera ślub z biedną, ale ukochaną dziewczyną, córką nauczyciela języka francuskiego, przez rząd austrjacki pozbawionego posady, ponieważ uchodził za wolnodumcę. »Stary Światek« jest historją małżeństwa i to małżeństwa dwóch odmiennych zupełnie ludzi. Bo kiedy Franco Maironi jest człowiekiem miękkim, oddanym dyletanckim zajęciom, poezji i muzyce, umiejącym spokojnie żyć z łaski wuja swej żony, bez myśli o przyszłość, to żona jego Luiza posiada wielki zasób energji życiowej, widzi prawdę nie w marzeniach, lecz w działaniu. Na działanie decyduje się wreszcie — po czterech latach wspólnego pożycia — i mąż, ale aby to nastąpiło, potrzeba nadzwyczajnego bodźca w postaci nędzy materjalnej, spowodowanej dymisją wuja jego żony, inżynjera w służbie austrjackiej, którą utracił, stanąwszy pod zarzutem agitacji antirządowych. Maironi, ujrzawszy się bez środków, postanawia opuścić gniazdo rodzinne i śród rozmaitych niebezpieczeństw, ścigany przez szpiegów austrjackich, udaje się do Piemontu, ażeby tam nietylko zapracować na chleb dla żony, dziecka, czteroletniej córeczki, i siebie, ale także oddać się na usługi ojczyzny, dopomódz do uwolnienia jej z pod panowania znienawidzonej Austrji. Luiza naturalnie krok ten pochwala, przed odjazdem męża dowiaduje się atoli o fakcie, który nią wstrząsnął do głębi i znowu, w skutkach swoich, pokazał różnicę pomiędzy jej charakterem, a charakterem męża. Dowiaduje się mianowicie, że majątek dumnej babki, jest właściwie majątkiem Franc'a, że dziad Franc'a żonę swą zupełnie wydziedziczył, a w dodatku napiętnował ją w testamencie, jako kobietę niegodną i że tylko miękkości wnuka, który o zapisie tym wiedział, lecz dochodzeniem swych praw, ogłoszeniem upokarzającego babkę testamentu nie chciał ściągać hańby na jej głowę, zawdzięcza zła kobieta swoją nielitościwą nad kochającem się małżeństwem przewagę. Jeden z przyjaciół Franc'a odgrywa poza jego plecami i bez jego wiedzy rolę pośrednika; babka skłonna już do zgody, ale pod warunkiem, że Franco zostanie urzędnikiem austrjackim i zerwie stosunki z patrjotycznym wujem swej żony. Franco atoli propozycję tę, którą mu przyniósł świetnie nakreślony szpieg austrjacki, urzędnik skarbowy Posatti, z oburzeniem odrzuca, a oburzenie to zwróciło się także przeciw żonie, gdy posłyszał, że owe zabiegi przyjaciela były jej znane i że energicznie przeciw nim nie zaprotestowała. Energja Luizy nie w tym jednak zwróciła się kierunku: chciała dochodzić słusznych praw męża, a tem samem i swoich, chciała stoczyć walkę z przywłaszczy-

cielką cudzego majątku; samorzutna, sprężysta, czynna jej natura nie mogła się zgodzić z bier nym sentymentalizmem męża. Rozchodzą się w dysharmonji: mąż jedzie do Turynu i tam w patrjotycznych bierze udział pracach, żona zaś postanawia dalej walczyć o swoją własność. Spotyka ją atoli kara: w chwili gdy przypadkiem przejeżdżającej babce chce rzucić w oczy słowa pogardy, powiedzieć jej, że jest złodziejką, oszustką, słyszy okropną wieść, że właśnie utonęła jej czteroletnia córeczka. Surowość autora, karzącego Luizę za brak sentymentalizmu życiowego, przeciwko któremu sam energicznie walczy, okupuje niezmierzone ciepło, z jakiem odmalował boleść matki, dochodzącej w rozpaczy aż do praktyk spirytystycznych, za pomocą których pragnie obcować z duchem utraconej córeczki. Zdaje się nawet, że Fogazzaro naumyślnie taką na Luizę ściągnął karę, aby z tem większą miłością pokazać szlachetność jej natury, uj wniającą się w cierpieniu.

Romans, powyżej w ogólnych streszczony zarysach, jest dziełem dojrzałego artysty, daleko odbiegającem od dzieł rozmaitych, głośniejszych może od Fogazzara naśladowców modnej literatury Zachodu. Jest w nim i duży talent naratorski i subtelność w oddawaniu procesów psychologicznych, jest miłość swobody i ziemi ojczystej, którą chciałby widzieć jak najszczęśliwszą, jest w nim wreszcie i to, a czem zbywa prawie wszystkim autorom włoskim, mianowicie głębokie odczucie przyrody. Z tych względów zasługuje Fogazzaro na uwagę polskich czytelników w daleko większym stopniu, niż włoscy, niejednokrotnie nieudolni kopiści Zoli czy Maupassanta.

Jan Kasprowicz

NIM PRZEMINIE.

Kiedy tryumf na arenie i zwycięstwa szał
Równym tobie lub mniej godnym los szczęśliwy dał,
Gdy do uczty wśród peanów zasiadają sami,
A tyś pełen żądz i pragnień został przed szrankami,
Li nadzieją karmiąc ducha i zgłodniałe ciało,
Nie straciłeś nic zaiste, a zdobył nie mało:
Ciebie jeszcze rozkosz życia, nęci życia bój,
Gdy wokoło . . . popatrz tylko: kędy ustał znój,
Gdzie o byt ustała walka i ucichły wrzaski,
Nudno, zimno tam na szczycie... żądz pogasły blaski
Na wyżynie tej tryumfu, jak na łez dolinie,
Tak przeminą ich rozkosze, jak twój ból przeminie.

Och! przeminie ten od świtu aż do nocy trud,
I jęk ciała zgłodniałego i czczej duszy głód.
Och, przeminą upokorzeń niezgojone rany,
Krzywdy miną niepomszczone. Niepowetowany
Nadaremnych pragnień minie blask — co cię zachwyca,
A od oszczerstw czas ze śmiercią wybielą ci lica,
I od winy popełnionej cię oczyszczą plam.
Jak minęli, których płaczesz, tak ty miniesz sam,
Już kamieniom nie zazdroszcząc ich kamiennej ciszy.
Minie ludzkość, co się śmieje, choć twe skargi słyszy.
Minie wszystko, co nabroił los . . . w pustej swawoli.
Lecz nim wszystko to przeminie, jak to krwawo boli.

Zofia Grynbergowa.

Przebudzenie się poczucia narodowego u Armeńczyków.

Znany podróżnik i badacz stosunków politycznych ludów wschodnich H. Vambéry, poświęca ocknięciu się poczucia narodowego u plemienia armeńskiego dłuższą rozprawę, którą w streszczeniu podajemy niniejszem, jako obraz, wyjaśniający obecne zawikłania na Wschodzie, właśnie skutkiem usiłowań i dążności Armeńczyków do wyjarzmienia się z pod despotyzmu i teroryzmu tureckiego.

We wstępie do omawianej kwestji, pisze Vambéry:

»Gdybyśmy zechcieli opowiedzieć dzieje cierpień narodu armeńskiego, to nie wybrnęlibyśmy z długiego łańcucha krwawych tragedji, straszliwych ciosów losu i coraz smutniejszych epizodów nieszczęścia narodowego. Dzieje ludu izraelskiego, z jedynym wyjątkiem ostatecznej zagłady Jerozolimy, są niczem w porównaniu straszliwych i uporczywych walk, trwających już całe tysiąclecia, walk i ucisku, przez które naród armeński przez 3.000 lat egzystencji swojej przebywa. Hai czyli Haiasdan, jak Armeńczycy miejscowi kraj swój nazywają, opierać się musiał we wszystkich okresach swego życia nieustannym napadom zdobywców od wschodu i zachodu. Kraj ten, pomimo częstych i dzielnych porywów, został w końcu rozszarpany przez żywioły obce.

To główna przyczyna częstych zmian granic Armenji. Była ona w różnych czasach zdobyczą Macedończyków, Persów, Rzymian, Arabów, Mongołów i Turków. Różnorodna mieszanina ludów, która wpadała do Armenji, niedopuściła nigdy do wzrostu i rozwinięcia się żywiołu armeńskiego, a co nie uległo w walkach politycznych, to marnowało później najlepsze siły w sekciarskiej walce religijnej. Patrząc na naród, znajdujący się w takich warunkach, ogarnąć musi zdumienie, że dziś jeszcze około trzech miljonów Armeńczyków, znajdujących się pod panowaniem Persji, Rosji i Turcji, występuje w najnowszych czasach z aspiracjami narodowymi i na widowni politycznej stwarza kwestję nową do rozwiązania.

To ocknięcie się narodowego poczucia Armeńczyków skłania nas do rozpatrzenia się w ich sprawie dlatego, ponieważ garstce tej plemienia aryjskiego, pomimo jej mniejszości, przypadnie w przyszłem ukształtowaniu stosunków politycznych i cywilizacyjnych w Azji Mniejszej rola może pierwszorzędna.

Armeńczycy pod półksiężycem odważali się zwykle na zamanifestowanie swoich aspiracji do samodzielności tylko w takich chwilach, w których stykali się ze światem zachodnim, zdążającym i pnącym się ku Wschodowi. Podobnie jak Konstantyn I, syn Kakiga II. w r. 1097 przyłączył się do przybywających rycerzy krzyżowych, tak też i Armeńczycy Persji i Turcji zwracali tęskne spojrzenia ku rosyjskiemu zdobywcy Kaukazu, łudząc się nadzieją, że car uwolni ich od jarzma muzułmańskiego i odbudować pomoże Armenję samodzielną. Ale też i podobnie jak Armeńczycy wieków średnich, doznali przy odwrocie rycerstwa zachodniego większego jeno ucisku od muzułmanów, zawiedli się i dzisiejsi ich potomkowie, pokładając nadzieję w Rosji. Pomimo rzeczywistych usług, oddanych armji rosyjskiej przez biskupów Argutianca i Nersesa, nie tylko, że nie spełniono dawanych z Petersburga przyrzeczeń co do ukonstytuowania Armenji samodzielnej, ale spotkało ich jeszcze coś gorszego. Oto nieszczęśliwy lud armeński musiał bez możności protestu przyjąć jarzmo nowej, usystematyzowanej tyranji rosyjskiej. Kiedy zaś wielu uznało, że lżejsze jest jeszcze panowenie chanów i baszów, niż naczelników rosyjskich, wtedy rozpoczęło się gromadne znowu przesiedlanie Armeńczyków do Persji i Turcji, gdzie woleli żyć pod zwierzchnictwem władców muzułmańskich. Nie o wiele lepiej wiodło się dawniej już osiadłym w północnym Kaukazie Armeńczykom. Po wcieleniu Georgji używano ich za narzędzie przeciw Georgijczykom, później atoli traktowano większym jeszcze uciskiem, wszelki zaś objaw poczucia narodowego poczytywany był jako zbrodnia i karany surowo. Dążność do odzyskania autonomji narodowego kościoła armeńskiego została przez Rosję stanowczo zdławiona. Wówczas nie pozostało nieszczęśliwym Armeńczykom nic, oprócz szukania twierdzy i tamy przeciw rusyfikacji w utrzymaniu języka i literatury ojczystej.

Stary ich, oddawna uprawiany i pod względem literackim rozwinięty język, odpowiadał zupełnie tej dążności. W Tyflisie atoli czujne ucho rosyjskich działaczy pochwyciło niebezpieczeństwo podobnych »zachcianek« i w szkołach, utrzymywanych przez Armeńczyków narzucono język rosyjski, jako wykładowy. Jeźli zaś jednemu z poetów armeńskich wezbrało w piersi uciśnionej i zapragnął choćby w obrazach osłoniętych mgłą domyślników zagadnąć o Armenji, lub wzlecieć na górę Ararat, by spojrzeć na lud cały, to spotykał go los podobny, jak niedawno utalentowanego poetę Abowianca, który zniknął nagle i tajemniczo z widowni działalności literackiej i jak mówią, wywieziony został do jednej z kopalń na Syberji.

Za pierwsze iskierki poczucia narodowego w zeszłem stuleciu, odpokutowali Armeńczycy strasznie. Z czasem przyszli. niestety, do przekonania, że opieka władzy chrześciańskiej nie tylko nie przynosi ulgi w niedoli, ale przeciwnie ogarnia takim płomieniem, w którym egzystencja narodowa uledzby musiała bezwarunkowej zagładzie.

Przemoc muzułmańska podkopywała tylko stosunki materjalne, natomiast chrześcianizm rosyjski nadwerężył ducha narodu i zatruł tak dusze, że w ciągu jednego wieku poczynił większe spustoszenia, niż brutalna siła islamu przez wiele wieków. Wielu Armeńczyków osobliwie w Krymie i Astrachaniu wynarodowiło się zupełnie.

Wobec tego faktu nie trudno wytłumaczyć sobie, że zwróciło to baczność wielu patrjotów armeńskich, którzy też w ostatnich czasach ostrzegali swoich rodaków, doradzając jak najżarliwiej bezwarunkową bierność wobec syrenich głosów rosyjskich.

Zasadę też bezwarunkowej bierności, idącej ręka w rękę ze szczeremi dążnościami cywilizacyjnemi i z gorliwem oddaniem się studjom nad przeszłością armeńską, przyjęła w najnowszych czasach cała większość ludu armeńskiego. Gdyby byli wytrwali, nie zrywając się przedwcześnie, uniknęliby błędu politycznego, do którego zachęcił ich widok odzyskanej wolności Serbji, Rumunji i Bułgarji

Nie można się dziwić patrjotom armeńskim, że w błąd wprowadzeni zostali. Analogja stosunków polegała tylko na złem obliczeniu. Bułgarzy, Serbi, Grecy (lubo najmniej Bułgarzy) stanowili ludy niemal jednolite, podczas gdy etniczne stosunki Armenji zupełnie inaczej się przedstawiają (Dok. nast.)

Wiadomości bibljograficzne.

Falkiewicz Karol. Monografia powiatu Gródeckiego. Gródek. Nakładem Gródeckiej Rady powiatowej 1896, str. I-III i 14·.

Dr. Krczek Franciszek. Szkolnictwo na czeskiej wystawie etnograficznej w Pradze 1895. Lwów 1896, str. 68.

Proces Kro_an przed izbą sądową wileńską na podstawie aktów sądowych i innych dokumentów (z sześcioma ilustracjami i dwoma planami). Kraków. Skład główny w księgarni I. A. Krzyżanowskiego 1896, str. 293.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.